

KONRAD PIWOWARCZYK-SABAN

POD WIATR

OPOWIADANIA



W stronę lepszego świata

– Jeszcze parę centymetrów i powinno wystarczyć – powiedział Adeel kiedy nagle ostrze kilofu uderzyło w kamień, wydając przy tym bolesny, zgrzytliwy dźwięk.

– Ziemia stawia opór – wyszeptał Theo, młody Grek o kojącym spojrzeniu. Parę głębokich zmarszczek na czole ogorzałym od słońca i morskiej bryzy nadawało jego rysom szlachetności, jakby powagi, tak charakterystycznej dla greckich rybaków.

Adeel wykonał resztką sił parę uderzeń w spękaną, suchą ziemię, po czym odłożył kilof, usiadł na wykopanym kawałku granitowej skały i odpalił papierosa. Nie potrafił opanować drżenia rąk, ale w żadnym razie nie przyznałby się (nawet przed samym sobą), że to z wewnętrznej rozpacz, a nie przez brak tężyzny fizycznej. Był to już trzeci dół jaki wykopali tego popołudnia, tym razem jednak długi zaledwie na metr a szeroki jedynie na dwa łokcie.

– Więcej nie trzeba, tyle wystarczy. Adeel zaciągnął się papierosowym dymem i natychmiast przykrył usta dłonią, jakby miał za chwilę zwymiotować. Poczul w ustach obrzydliwy niesmak nikotyny zmieszanej ze słoną wydzieliną, która w normalnych okolicznościach byłaby łzami, gdyby nie to, że oczy Adeela odmawiały już dziś posłuszeństwa i cała sól jego duszy zamiast po policzkach spływała teraz bezpośrednio do gardła. Naturalnym odruchem chciałby splunąć i wykrztusić z siebie tę obrzydliwą maź, przełknął ją jednak szybko, by nie zbecześcić świeżo wykopanego nagrobka. Tuż obok, na taczce, leżało niewielkie zawiniątko. Przypominało poczwarkę motyla, niczym biały, szmaciany kokon.

– Przeszedłeś przez piekło, teraz jesteś w raju – pomyślał Adeel, patrząc jak Theo nieporadnie zapisuje na skrawku kartonu: Omar, lat pięć, urodzony w muhafazie Aleppo. Nic więcej o nim nie wiedzieli. Nie wiedzieli nawet jak miał naprawdę na imię, sami z Theo nadawali imiona niezidentyfikowanym uchodźcom, których ciała wyławiali z morza niemal każdego dnia, od paru miesięcy.

– Na teraz musi wystarczyć, jutro zadbamy o kamienną tablicę.

Na gruncie należącym do rodziców Theo, parę kilometrów od obozowiska dla uchodźców w Morii na Lesbos, niedaleko stolicy wyspy Mitylene, stworzyli dla nich mały cmentarz. Dla chłopca wybrali imię Omar, bo znaczy tyle, co “życie”.

Adeel przytknął oczy w nadziei na to, że będzie mu łatwiej skupić się na wewnętrznej modlitwie, jednak to tylko pogorszyło sprawę. W głowie rysował się obraz, który przyprawił ciało mężczyzny o bolesny dreszcz: wspomnienie wczorajszego poranka, kiedy razem z Theo wyłowili z morza czwłoki dziecka. Przetransportowali je do obozu w Morii, tam przygotowano je do pochówku. Tego samego dnia, do Morii trafiło blisko sześćdziesięciu, wyłowionych z morza uchodźców. To oni zidentyfikowali chłopca jako jednego z pasażerów ich plastikowej łodzi, nikt jednak nie wiedział jak mały miał na imię.

“Dla matki chłopca zabrakło miejsca, więc przekazała dziecko pod opiekę krewnemu, jednemu z pasażerów.” – ktoś powiedział. “Nie miała wyjścia” – ktoś dodał – “tam czekała na nich tylko śmierć.” “Nigdy nie zapomnę, tego, co ta kobieta powiedziała: płyn w stronę lepszego świata” – dodała osiemnastoletnia Szam i zalała się łzami. “Parę tygodni po wypłynięciu, ten pan, co się dzieckiem opiekował zasnął i wypadł za burtę. Zszokowany chłopiec krzyczał i rzucał się w rozpacz. Był taki

maleńki, wystarczył podmuch wiatru, by strącić go z pokładu. Nie dało się ratować, sami byśmy zginęli.” – wyjaśnił ktoś inny.

Tylko podczas tej jednej wyprawy śmierć w morzu poniosło dwadzieścia osób. Każdego dnia, z głodu, wycieńczenia i pragnienia ktoś mdlał i wypadał za burtę. “Albo wyskakiwał” wyszeptała młoda Syryjka z niemowlęciem na rękach.

Choć rodzice Adeela byli muzułmanami, on sam nie należał do ludzi religijnych, wyrecytował jednak w myślach parę wersów dżanazy, na tyle przynajmniej, na ile pamiętał z dzieciństwa, z nauk ojca.

Theo przyklęknął i przeżegnał się.

Zaszło słońce.

Łódź należąca do ojca Theo chybotwała się na falach u wybrzeży Lesbos. Z pozoru lekka i niestabilna, pędzona wiatrem, niczym kawałek kory pchany podmuchem dziecka, dawno już przestała być łodzią rybacką. Od paru miesięcy służyła obu mężczyznom za – nielegalną według obowiązującego prawa – łódź ratowniczą.

Theo wpatrywał się w srebrne grzywy fal, co i rusz ocierając z twarzy krople ochlapującej go morskiej piany. – Morze, matko moja, moje ty słone, błękitne przeznaczenie, zacytował tekst greckiej piosenki, po czym dodał: – Jak często bywasz bezlitosne i okrutne, zabierasz już nawet niewinne dzieci...

– Nie obwiniaj morza, szepnął Adeel, obwiniaj człowieka.

To my – ludzie – uczyniliśmy to morze cmentarzem.

Konrad Piwowarczyk-Saban, Ateny 2019